

Bromke, Adam

Powstanie

Przegląd Pruszkowski nr 1, 39-49

2010

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Prof. dr Adam Bromke

Pseudonim „Karski”

Absolwent Liceum im. Tomasza Zana w Pruszkowie (matura 1945 rok).

Wykładowca uniwersytetów w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych. Zmarł w Warszawie w październiku 2008 roku.

Swoje przeżycia z Powstania Warszawskiego opisuje w książce „Polak w świecie”.

Powstanie

Kwatera przy Chmielnej 61 została trafnie wybrana do przejścia niemieckich działek na Dworcu Głównym, ponieważ znajdowała się od niego o żabi skok. Dworca jednak, jak już wspomniałem, nigdy nie zdobyliśmy. Niemcy byli tam silnie umocnieni i atak naszej piechoty załamał się w zarodku. Bez dział wypełnialiśmy więc zadania piechoty. Bez dział, ale i, na dobrą sprawę, bez broni ręcznej. W naszym plutonie mieliśmy tylko jeden niemiecki pistolet maszynowy typu Schmeiser, z którym obchodziliśmy się jak z jajkiem, i parę rewolwerów. W tej sytuacji ważne się stało odzyskanie broni zostawionej u mnie w domu – trzeba było po nią pójść. Staszek wywołał ochotników – podniosłem rękę, ale na moment za późno. Wybrani zostali kapral „Biernacki” Konrad Gruszczyński i Wiesio. Wkrótce przysłała wiadomość, że obydwaj padli po drodze.

Pierwszej nocy powstańczej zorganizowaliśmy się jako oddział i objęliśmy swój rejon: kompleks domów wokół Chmielnej 61, tuż nad torami kolejowymi. Pluton pozostał w środku, w kamienicy, w której mieściły się zakłady graficzne Wierzbickiego. Ułatwiło nam to znakomicie spanie, gdyż w piwnicy były półki, na których układano druki, i one posłużyły nam za łóżka. Po naszej stronie,

nad torami, w okolicy Dworca Poczтового, płonęły jakieś baraki. Siąpił deszcz. Gdyby Niemcy przypuścili tej nocy atak, wygarnęliby nas jak raki. Na dobrą sprawę byliśmy bezbronni. Na szczęście i oni byli wyraźnie zdezorientowani.

Następnego dnia postanowiliśmy, na wszelki przypadek, zbudować na Chmielnej barykadę łączącą nas z drugą stroną ulicy. Zostałem dowódcą czteroosobowego patrolu wyznaczonego do wzniesienia barykady od strony wschodniej. Polegało to na zrywaniu trotuaru i układaniu płyt w poprzek ulicy. Wiedziałem, że w czterech niewiele zrobimy. Wezwałem więc lokalnego komendanta obrony przeciwlotniczej, prosząc o pomoc ludności cywilnej. Komendant mógłby być chyba moim ojcem, ale biało-czerwona opaska na moim ramieniu zrobiła swoje. Na jego wezwanie z miejsca zjawił się tłum mężczyzn i kobiet, w tym i śliczne dziewczyny. Z entuzjazmem przystąpiono do pracy, barykada rosła w oczach. Chcieliśmy uczestniczyć w tej pracy, ale odsunięto nas na bok: „Panowie macie za sobą ciężką noc, więc musicie odpocząć”.

Następna wyprawa po broń do mojego domu powiodła się. Przyniesiono kilka rewolwerów, a ja dowiedziałem się w ten sposób, co się dzieje z mamą. Jak już wspomniałem, z powodu naszej zbiórki spóźniła się na swój powstańczy punkt zborny. Przyniosło to, jak się okazało, szczęśliwy skutek: punkt był bowiem wyznaczony w zachodniej części Alej Jerozolimskich, które zostały opanowane przez Niemców. W efekcie mama objęła klinikę ginekologiczną przy Złotej 7 i pod kierunkiem doktora Konarskiego zorganizowała tam powstańczy punkt opatrunkowy, 4 sierpnia rano zjawiła się promienna (Była wyjątkowo piękną, budzącą sympatię kobietą – red.) w naszej Baterii i przyniosła mnóstwo słodczy pochodzących ze skonfiskowanego sklepu Wedla przy Szpitalnej.

W południe tego samego dnia Niemcy rozpoczęli atak. Alejami Jerozolimskimi przemieszczały się już nie rozbite tabory, lecz doborowe dywizje pancerne idące na wschód, za Wisłę. Po drodze „Tygrysy” nie szczędziły nam ognia. Dom zapalił się. Byłem akurat na piątym piętrze, obsługując z dwoma kolegami naszego legen-

darnego Schmeissera. Klatka schodowa płonęła, byliśmy odcięci. Nie myśleliśmy o sobie, nie mogliśmy przecież pozbawić oddziału jego podstawowej broni. Nałożyliśmy na głowy zmoczone przecieradła, które znaleźliśmy w którymś z opuszczonych mieszkań i przedzieraliśmy się przez gęsty dym. Udało się. Na parterze natknąłem się na rannego Staszka Gromulskiego, wynoszonego na noszach. Dostał w brzuch, gdy gasił ogień w piwnicach. Ogień został ugaszony, a Niemcy nie ponowili próby ataku.

Następnego dnia wybrałem się „na przepustkę” do mamy. Chmielną nie było przejścia, poszedłem więc Złotą. Niebezpieczeństwo stanowiła barykada na Marszałkowskiej, wciąż pozostająca pod niemieckim ostrzałem. Przeskoczyłem ją jednak szczęśliwie. Na ulicach opanowanych przez powstańców panował nastrój euforii. Na domach wisiały biało-czerwone flagi, z okien dochodził głos powstańczej radiostacji „Błyskawica”. Ludzie na widok mojej opaski wciskali mi do rąk cukierki i papierosy. Kiedy dobiełem do celu, poszliśmy z mamą na kolację do żołnierskiej restauracji „Warszawianka” na ulicy Zgoda. Było radośnie – czuliśmy się znów w wolnej Polsce.

Ten nastrój nie trwał jednak długo. Po paru dniach z naszych biuletynów dowiedziałem się, że tu i tam odparliśmy wprawdzie niemieckie ataki, ale zasępiłem się, ponieważ powstanie jest zwycięskie tylko wtedy, gdy idzie impetem. Jeśli impet słabnie, gdy na jakimś odcinku działania ustają, powstanie przegrywa. Podzieliłem się tą uwagą ze Stefanem Bogdanowiczem. „Jesteś defetystą” – odparł. „Nieprawda – zaprotestowałem – nikogo nie zachęcą do zaprzestania walki i sam gotów jestem prowadzić ją do końca. Pozwól mi jednak być realistą”. Kiedyś, po latach, kiedy rozmawialiśmy o przebiegu i losach Powstania, przyznał mi rację.

Tymczasem przyszła dobra wiadomość: informacja z 1 sierpnia o śmierci Wiesia Zielińskiego na patrolu była fałszywa. Biernacki rzeczywiście zginął, ale Wiesio został tylko ranny i po paru dniach w lazarecie doszedł do siebie. Kiedy się o tym dowiedziałem, dosłownie popłakałem się z radości. Nie wroczył jednak do naszego

oddziału – został w jednostce, która go ocaliła. Spotkałem go kilka dni później. Ubrany był w obcisły, czarny mundur niemieckich pancerniaków, z charakterystyczną, jakby zakopiańską czapką z białą-czerwoną otoczką. „Dlaczego nie wróciłeś do oddziału?”. Zamurował mnie stwierdzeniem: „Bo się zakochałem w swojej pielęgniarce...”

Umówiliśmy się „na przepustkę” u mnie w domu. Śmiał się wówczas ze swojego postrzału, bagatelizując to zdarzenie. Istotnie miał wyjątkowe szczęście, kula nie ruszyła serca, płuca ani nawet żeber. Musiał wcześniej wrócić do swojego oddziału niż ja., odprowadziłem go więc do barykady na Marszałkowskiej. Uściskaliśmy się i zniknął mi w swoim ciemnym mundurze w mroku nocy. Parę dni później szczęście go opuściło. Niemiecki granatnik roztrzaskał mu czaszkę. Kiedy się o tym dowiedziałem, znów zapłakałem...

Po stracie Julka, Staszka i Wiesia zbojętniałem jakby na otaczającą mnie śmierć. Przeżyłem ją silniej jeszcze raz 31 sierpnia, gdy zginął Jurek Mojkowski. „Modrzew”, bo taki nosił pseudonim, był na naszym pierwszym punkcie zbornym. A kiedy ogłoszono następny alarm, został w domu. Jego rodzice byli akurat sami, gdyż w tym czasie nie było w domu żadnej z jego siostr – matka błagała, by został. Załamał się. Łzy matki były silniejsze. Zginął wraz z ojcem pod gruzami zbombardowanego domu przy ulicy Wielkiej. Poszedłem tam niezwłocznie i zobaczyłem „anemiczną” akcję ratunkową – jacyś ludzie próbowali odwalać gruz, pod którym leżał mój przyjaciel, ale było to działanie beznadziejne. Pocieszałem, jak mogłem, zrozpaczoną matkę i młodsze siostry Jurka, które tymczasem odnalazły się w zawierusze powstania.

Odtąd modliłem się już tylko o ocalenie mojej matki. Bywałem u niej dosyć często. Kolejka rannych w jej szpitalu stale się wydłużała. Nieraz czekałem na mamę godzinę i dwie, rannych brano na stół niemal taśmowo. Zaczęło brakować lekarstw i środków znieczulających. Pacjenci rozpaczliwie krzyczeli z bólu w czasie operacji – marli jak muchy. Chowano ich na podwórku łączącym

Złotą 7 z Chmielną 30, obok naszego domu. A mama wychodziła ze szpitala kompletnie rozdygotana.

Ale to widziałem tylko ja. Dla otoczenia trzymała zawsze fason. Wieczorem szła do pobliskiego kina „Palladium”, siadała przy fortepianie i grała nasze akowskie piosenki. Zbierało się zawsze spore grono żołnierzy i śpiewaliśmy: „Hej, chłopcy, bagnet na broń”, a kiedy zjawili się kanałami ze Starówki nasi koledzy, również piosenkę „Parasola”:

A gdy miną dni walki, szturmów i krwi,
bratni legion już z boju powróci.
Alejami z paradą pójdą chłopcy defiladą,
w wolnej Polsce, co wstanie z naszej krwi.

Przemijały dni, a także nasza wiara, że rzeczywiście tak będzie.

* * *

Mama także modliła się nieustannie o moje ocalenie. Któregoś dnia, gdy przeskakiwałem przez barykadę na Marszałkowskiej, wypadła mi z kieszeni legitymacja AK. Ktoś następny po mnie podniósł ją i dostał w czapę. Zadzwoniono do mojego oddziału, że zginął kanonier Karski. Byłem akurat na placówce i zastępca dowódcy oddziału, podchorąży Jerzy Bogdanowicz (starszy brat Stefana i jak on, flegmatyk) zadzwonił pytając: „Adam, czy to ty?”. O powiedziałem: „No, chyba poznajesz mój głos”. „To dobrze, znaczy, że żyjesz” - zauważył i opowiedział mi o tym zdarzeniu. Jeszcze tego samego dnia przekazałem mamie wiadomość, że gdyby szła tą trasą i znalazła mój grób, to nie ja w nim leżę.

Zdarzały się jednak i poważniejsze wypadki. Niemcy nas nie bombardowali, bo byliśmy zbyt blisko linii frontu i bali się trafienia we własne oddziały. Ale już obok willi walili nie najgorzej. Któregoś dnia trafili dużą bombą w dom po drugiej stronie Chmielnej. Z paropiętrowej kamienicy została kupa gruzu. Tuż przedtem

stałem na warcie w bramie naprzeciw tej kamienicy. Jako służbista nie schodziłem z posterunku. Akurat przechodził dowódca naszej Baterii „Żuk”. „Co ty tu robisz?” – zapytał. „Stoję na warcie, panie poruczniku” – odpowiedziałem. „Zmykaj do piwnicy” – wykrzyknął. Wykonałem jego rozkaz i w ten sposób ocalałem życie. Podmuch od bomby był tak silny, że wszyscy przebywający w mieszkaniach po drugiej stronie ulicy, zginęli.

„Żuk” – Zdzisław Szczepański był świetnym dowódcą. Sporo od nas starszy, był oficerem przeszkolonym w szkole podchorążych jeszcze przed wojną. Wiedział, że ma pod sobą kupę dzieciaków, starał się oszczędzać nas, jak mógł. Nie wysyłał nas na zbyt ryzykowne, może efektywne, ale kosztowne akcje. Mówił mi o tym w naszych rozlicznych późniejszych rozmowach. Po wojnie dokończył architekturę w Paryżu. Potem przeniósł się, najpierw do Kanady, a następnie do Stanów, gdzie pracował w swym zawodzie dla rządu w Waszyngtonie. Zdobył sobie również spore uznanie jako utalentowany rzeźbiarz. Widywaliśmy się często i po dziś dzień jesteśmy w serdecznej przyjaźni.

Zdzisław zrobił z nas zupełnie przyzwoity oddział. Gdzieś skombinowaliśmy robotnicze, szaro-granatowe drelichy i granatowe berety, wyglądaliśmy więc niczym jednolicie umundurowana jednostka. Nasze dziewczyny uszyły pomarańczowo – zielone proporczyki artylerii przeciwlotniczej, które nosiliśmy na kołnierzach. Ale co najważniejsze, pojawili się rusznikarze, którzy zaczęli produkować broń. Były to wzorowane na angielskim prototypie pistolety maszynowe „Steny” oraz granatniki. Te pierwsze były wprawdzie bez gwintu, drugie, zamiast sprężyny, miały gumę, ale prezentowały się dość efektownie.

Pod koniec Powstania byliśmy już jako tako uzbrojeni. Nadwyżkę „Stenów” przekazaliśmy nawet sąsiadującym oddziałom.

A tak w ogóle, jak na warunki Powstania, żyliśmy niczym u Pana Boga za piecem. Od początku siedzieliśmy na tych samych kwaterych, a na półkach Wierzbickiego nawet nieźle się zadomowiliśmy. Podłączyliśmy się do linii elektrycznej, która zapewniała Niemcom

światło na Dworcu Głównym, mieliśmy więc widno. Niemcy nie tylko nas nie bombardowali, lecz nawet nie odważyli się na frontalny atak. Może odstraszały ich nasze wieczorne ogniska, przy których śpiewaliśmy dziarsko piosenki harcercy i wojskowe. Przekonani byli zapewne, że jest nas dużo i w doborowych nastrojach.

Prowadziliśmy walkę pozycyjną. Niemniej wypełnialiśmy strategiczne dość kluczowe zadania. Wraz z resztą batalionu „Gurta” po naszej lewej stronie i batalionem „Chrobry II” z NSZ po prawicy, utrzymywaliśmy odcinek frontu od Marszałkowskiej aż po dworzec kolejowy (w „Chrobrym II” służyła, jak się okazało, moja przyszła żona, Alina Kośmidrówna). Pod naszym nadzorem były tory kolejowe prowadzące wykopem do Dworca Głównego, które zresztą od razu rozkręciliśmy, a pod naszym ostrzałem Aleje Jerozolimskie. Tu okopali się Niemcy, ale poza czołgami wszelki ruch na tej ulicy został sparaliżowany. Blokowaliśmy w ten sposób ich centralną arterię przelotową z zachodu na wschód.

Bywało jednak i gorąco. Niemcy ostrzeliwali nas stale z granatników i „naszych” dwudziestomilimetrowych działek. Walily one po oknach jak karabin maszynowy. Po zmroku nasze patrole ścierały się z niemieckimi. Padali zabici i ranni. Wiedzieliśmy, że Niemcy się przegrupowują. Kiedyś usłyszeliśmy rozmowę po rosyjsku – a więc jednak weszły do akcji oddziały złożone z byłych jeńców sowieckich, które zasłynęły z okrucieństw na Woli i Ochocie. Pojawienie się posiłków mogło oznaczać zapowiedź frontalnego ataku. Byliśmy stale w pogotowiu. W dzień i noc wymiennie na placówkach, a gdy sygnalizowano alarm, biegliśmy wszyscy. Dokuczał nam brak snu – mogłem wówczas zasnąć na stojąco, opierając się zaledwie o ścianę.

Pod koniec sierpnia miałem kłopoty ze zdrowiem, dostałem więc parę dni zwolnienia do domu. Ale co to była za kuracja – rano zaczynały się naloty, trzeba więc było siedzieć w piwnicy. Niemieckie samoloty już teraz systematycznie bombardowały północne Śródmieście. Najpierw słychać było warkot nisko lecącego samolotu, potem gwizd spadającej bomby i wreszcie wybuch.

I wtedy przychodziła ulga – tym razem bomba nas jeszcze ominęła. I następna operacja, i następna...

Dla wzmocnienia organizmu dostałem jakiś zastrzyk z witaminami. Okazał się przestarzały i nastąpiło zakażenie. Objawiło się to dopiero, kiedy byłem już w oddziale. Skierowano mnie do szpitala wojskowego. Na takie przypadki nie warto było tracić środków znieczulających, cięto mnie więc bez nich. Pamiętam, że miałem wrażenie, jakby mi przykładano ogień do przedramienia. Żołnierski fason nie pozwalał mi zareagować, zaciskałem zęby i nie krzyknąłem. Kiedy wstałem, zemdlałem osuwając się w ramiona sanitariuszki. Była to Kryśka Szafrąńska (Kamać), która po dziś dzień to pamięta, choć żartuje, że zemdlałem celowo, aby się do niej przytulić

Ręka goiła się szybko i w drugiej połowie września byłem już znów w normalnej służbie. Akurat wtedy ruszyła ofensywa sowiecka – przez parę dni mieliśmy nawet osłonę lotniczą Zrzucano nam trochę broni, spora jej część spadła jednak na pozycje niemieckie. Z tych zrzutów przypadła mi pepesza. Któregoś, już dość zimnego, poranka siedziałem z nią na obserwacji, na dachu naszej kamienicy. Zza Wisły dochodził głos z gigantofonu: „Wytrwajcie, a was wesprzemy!”

Nad Warszawą tymczasem zaczęły się pojawiać samoloty alianckie – przeważnie nocą. 18 września w południe nadeszły „Liberatory” i zaczęły sypać spadochrony. W pierwszym momencie myśleliśmy, że to desant – może nawet jednostka spadochronowa? Wkrótce jednak zobaczyliśmy na niebie pojemniki. Większość znów spadła na stronę niemiecką. W tym czasie zostaliśmy już zamknięci w trzech kotłach: na Żoliborzu, Mokotowie i w Śródmieściu. Kiedy wieczorem słuchaliśmy polskiego programu BBC, nieustannie nadawano nam „Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej”

Nocami, siedząc na obserwacji, widziałem przez lornetkę, jak Niemcy palą domy w Alejach Jerozolimskich. Niszczyli je wyrzykowo – nie ruszyli hotelu „Polonia” i szpitala „Omegi” Tam, gdzie brakowało im sił, aby wysadzać obiekty, wzniecali pożary. Podpalali

od dołu, ogień się rozprzestrzenił i piął w górę. Najpierw zapalały się firanki, potem meble, następnie ogień obejmował stropy i tak piętro po piętrze szedł do góry. Gdy już przepaliły się stropy, całe wnętrze budynku osuwało się i powstawała góra gruzu. W murach zewnętrznych widoczne były jedynie oczodoły okien. Po wojnie kamienice w Alejach Jerozolimskich odbudowano w dawnym stylu. Jest to jedyny fragment mojego krajobrazu z Powstania, jaki się zachował. Dworzec Główny Niemcy wysadzili już po Powstaniu. Ruiny naszego rejonu zostały wyburzone, a na ich miejsce stanął ohydny Pałac Kultury i Nauki. Zawsze bywam tam z niechęcią.

Pod koniec września zdaliśmy sobie sprawę, że nikt nam nie przyjdzie z pomocą. Zaczęła się agonia Powstania. Oczywiście, nadal karnie wypełnialiśmy wszystkie swoje żołnierskie obowiązki, ale entuzjazm zastąpiła apatia. W Śródmieściu Niemcy systematycznie bombardowali dom po domu. Na Śliskiej, Chłodnej, Żółtej chodziło się po zwałach cegieł zburzonych kamienic.

Nastroje ludności cywilnej były coraz gorsze. Pod koniec Powstania otrzymałem rozkaz przeniesienia z patrolem ośmiu beczek karbidu. – obawialiśmy się, że Niemcy mogą w każdej chwili odciąć nam prąd. Podobnie, jak na początku Powstania, wezwałem komendanta bloku i poprosiłem o pomoc. Weszliśmy do piwnicy, gdzie nie brakowało silnych mężczyzn. Poprosił o ochotników. Nikt się nie zgłosił. Wtedy wyznaczyłem kilku z nich mówiąc wprost: „Pójdzie pan, pan i pan.” Obiecałem im w nagrodę żywność, ale i to nie skutkowało. Po drodze jeden z nich uciekł.

Czuliśmy się w Polsce znów przegranej... Wkrótce nadeszła wiadomość o upadku Żoliborza i Mokotowa... Wiedzieliśmy, że nadchodzi nasza kolej. Ale nie rezygnowaliśmy z walki, gotowi prowadzić ją do końca. Wreszcie przyszła wiadomość o kapitulacji Powstania. Przyjęliśmy ją z mieszanymi uczuciami, a pewną ulgą, że nastąpiło wreszcie to, co od pewnego czasu jawiło się jako nieuchronne, i że nie musimy już umierać. Ale było również uczucie głębokiego żalu, że nie spełniły się nasze marzenia i nadzieje, że nasze wysiłki poszły na marne.

W ostatnich dniach Powstania zbombardowano szpital mamy. Kiedy wpadłem do niej w dzień kapitulacji, była załamana. „Co mamy dalej robić?” – pytała bardziej siebie niż mnie. Zachowałem się wówczas jak prawdziwy mężczyzna i powiedziałem: „Mamusi, kapitulacja nie oznacza poddania. Dalej należy robić swoje”. Za moją radą poszła do szefostwa służb sanitarnych Powstania, do pułkownika „Bakcyła” i otrzymała przydział jako naczelną siostrą ewakuacyjnego szpitala cywilnego na Brackiej. Dowiedziała się też, że za swoje zasługi została awansowana do stopnia porucznika, co podniosło ją na duchu. Szpital miał ewakuować chorych cywilów, a wśród nich ukrywać żołnierzy AK.

Wtedy mama zaproponowała mi zagipsowanie ręki, abym mógł bezpiecznie, jako chory cywil opuścić Warszawę. Chciała mnie chronić. „Mateńko – powiedziałem – jeśli my z AK będziemy się wszyscy dekować, to skupi się to na ludności cywilnej. A przecież to my podjęliśmy odpowiedzialność za Powstanie i musimy ponieść ją do końca” Ponośliła konsekwencje swoich metod wychowania. Dodałem: „Obowiązkiem żołnierza, gdy znajdzie się w niewoli, jest z niej uciec. Tak nakazuje Regulamin Służby Wewnętrznej. Zapewniam cię, że będę starał się ten obowiązek wypełnić”.

Następnego dnia wyszliśmy. Prosiłem mamę, żeby nie przychodziła nas żegnać. Szliśmy ulicą Próżną – na balkonie stała Maria Mojewska ze swoimi młodszymi córkami – zsalutowałem im. Dalej, ulicą Chłodną, przez plac Kercelego, ulicą Wolską. Kiedy przekroczyliśmy linie niemieckie, akurat przyszło mi nieść, we dwóch z kolegą, karabin przeciwpancerny. Był ogromnie ciężki. Wstyd mi nieco przyznać się do tego, ale kiedy na Kercelaku zrzuciłem broń z ramion, ulżyło mi.

Zastanawialiśmy się z mamą, już pogodzoną z moją decyzją, jak się najlepiej ubrać na tę okazję wyruszenia w nieznane i niepewne.. Miałem wprawdzie jakiś sweter, moje jedyne, nieśmiertelne długie spodnie, ale półbuty były już w zupełnej ruinie. Wtedy to babcia-ciotka podarowała mi zakopiański kozuszek i gumki swojego męża. Przewędrowałem w nich potem szmat Europy.

W czasie przemarszu do punktu zbornego jeńców AK w Ożarowie początkowo staraliśmy się zachowywać fason i maszerowaliśmy dziarsko, stopniowo jednak animusz nas opuszczał i pod koniec szliśmy, ledwo powłócząc nogami. Pod wieczór dotarliśmy do celu – była to fabryka kabli – rzuciliśmy się całkowicie wyczerpani na przygotowane dla nas wiązki słomy. Nim zasnąłem, przewijały mi się przed oczami sceny z przejścia przez smutną Warszawę, marsz do Ożarowa. Po drodze ludność starała się podtrzymać nas na duchu. Pamiętam, jak przed wyjściem ze strefy polskiej podskoczył do nas jakiś starszy mężczyzna w kolejarskiej czapce i krzyknął: „Chłopcy, nie martwcie się, przecież my wygramy”. Spojrzałem na niego z wdzięcznością.

Po przekroczeniu linii niemieckich, ale jeszcze w obrębie Warszawy, przemknął obok nas otwarty kabriolet. Na tylnym siedzeniu siedział ubrany w strój cywilny, jedynie z opaską AK, w płaszczu i kapeluszu, generał Tadeusz Bór-Komorowski. Już wtedy nie tylko dowódca Armii Krajowej, ale mianowany akurat Naczelnym Wódz Polskich Sił Zbrojnych. Jechał, tak jak jego wojsko powstańcze, do niewoli...